

Lidia Amejko

BOLEŚCINKI POLSKIE.

ŚPIEWNİK.

(Długi stół, za stołem siedzą ludzie, niektórzy rozmawiają ze sobą, inni mówią do siebie. Co jakiś czas gwar milknie, biesiadnicy nasłuchują. Ktoś szepcze „ Słyszycie? Idzie! Idzie!“)

PIEŚŃ „GDYBYM JA TEN ROZUM MIAŁ“

(Trzech mężczyzn i kobieta, przed nimi sporo pustych butelek, jeden z mężczyzn dmucha w butelkę.)

Pierwszy: Buu! Buuu! Buuuuuuu!

(Biesiadnicy z odległej części stołu zdezorientowani zrywają się z miejsca z okrzykiem: to on! Jest!)

Pierwszy: Jak statki we mgle płyniemy, nie wiadomo dokąd. Buuuu!

(Ci najbliżej siedzący odpowiadają mu buczeniem z dna pustej butelek: Buuuu!)

Pierwszy: (szturcha w bok Drugiego) A nie wiesz ty, czemu tylko w jedną stronę? Bo, czy z lewa na prawo, czy na odwrót - życie zawsze od początku do końca płynie. A jakby tak

człowiek w cofie żył? Od końca? I już na początku by znał zakończenie?

Trzeci: (nuci) Jakby człowiek w cofie żył,

to by on mądrzejszy był

od siebie.

**Pierwszy: Życie by człowiek sobie spokojnie oglądał, jak straszny film. I wcale by się nie bał,
bo już by wiedział, kiedy oczy zasłonić i nie patrzeć. (Zasłania sobie oczy i wybucha płaczem)**

Jakbym ja miał ten rozum, co teraz!

Czwarta: (sceptycznie) To co?

(Reszta kompanii zaczyna krzyczeć:

- To bym...

- To bym...

- To bym...)

Pierwszy: (markotnie) To bym od szwagra tego samochodu nie kupił! (Buczy w butelkę)

**Samochód zaraz mi się rozkraczył, a szwagier pieniędzy nie chciał oddać, i na Wigilii żeśmy
sie pobili, i dostałem dziesięć lat, bo skurwysyn nie przeżył, a siostra z dziećmi sama
została i umarła, a dzieciaki...**

**Czwarta: (sceptycznie) Lepiej tego rozumu na przód nie wysyłać. Był u nas taki jeden, co w
cofie żył i źle się to dla niego skończyło.**

Drugi: Czemu źle? Co złego jest w życiu, co do tyłu biegnie.

Czwarta: Bo goło zaczął się nosić.

Wychodził golusienki przed dom i ludzi po oczach golizną walił.

- W niewinność jestem ubrany jak pierwsi rodzice w Raju.

Bo się okazało, że on w cofie żyje i w Raju właśnie przebywa!

Ludzie najpierw nic nie mówili tylko oczy odwracali i tymi odwróconymi oczami -

przewracali, co miało naczyć: co za bezwstyd! I tak się przyjęło, że go Bezwstydem nazwano.

Ludzie mu ubrania podrzucali pod drzwi, ale on nic sobie z tego nie robił, tylko dalej na golasa chodził.

- Jak wam wstyd na mnie patrzeć – mówił - to powiekami oczy zatrzaskajcie, a mnie dajcie żyć bez winy!

Na oślepienie się rozeszli po domach, żeby tej golizny nie oglądać. Każdy wstyd swój pod powiekami do mieszkania zaniósł i w mieszkaniachśmy siedzieli, całkiem z nich nie wychodzili, bo niby jak? Z oczami zaślepionymi wstydem chodzić? A na dodatek, wstyd powiedzieć, ale ten bezwstyd zaraźliwy się zrobił, bo inni też chcieli niewinności posmakować!

- Jak tu Bezwstyda zawstydzić, skoro on w niewinności żyje? - pytaliśmy jeden drugiego.

- Jak ludzi od golizny wybawić?

Wściekłość w nas rosła, że on taki wolny od winy się prowadzi. Żeśmy zrobili naradę w nocy, i księdza proboszczaśmy zaprosili, któremu też się nie podobala ta ludzka niewinność, bo ksiądz przecież z grzechów żyje. Golasówśmy wyłapali jeszcze przed Wniebowstąpieniem, do krzakówśmy przywiązali i podpalili na chwałę Pana.

Pierwszy: (trochę przerażony) I co?

Czwarta: Nic. Leżał potem nagi, strojnie odziany w martwą obojętność trupa i wciąż na złość całemu świat niczego się nie wstydził!

BALLADA O BYCIU W DWÓCH MIEJSCACH NARAZ

Piąty: (do Szóstego) Wszystko przez te morderstwa.

Szósty: (przerażony zrywa się z miejsca) Morderstwa? Tutaj? Kto morduje?

(Piąty nie odpowiada, patrzy na Szóstego, cieszy się efektem jaki wywołał)

Szósty: No, kto morduje?

Piąty: Czas! Czas własnymi rękami wszystko morduje.

Szósty: (z ulgą) Aha!

Piąty: A co po każdym morderstwie zostaje?

Szósty: Co?

Piąty: Trup!

Szósty: Jaki znowu trup?

Piąty: Zwłoki zwleczone z tego, co kiedyś było żywe. Czas trupa nieżywego nam zostawia. I to gdzie?

Szósty: Gdzie?

Piąty: W głowie! U jednych trup w pył się rozpada, jak należy, więc się człowiek otrzepie z pamięci jak pies i leci dalej! Ale innym, trup siną twarzą się nachyla każdego dnia każdej nocy i szepcze: a pamiętasz, jak...?

(Wybucha płaczem, Szósty podaje mu chusteczkę. Siódmy wtrąca się do rozmowy)

Siódmy: On pamięta jak czarny pająk z krzyżem życie mu zasnął brudną pajęczyną.

Piąty: Ustami łapczywie mnie oblał i szeptał: „jesteś moim jedynym przyjacielem!” Tak prządl swoją lepką nić, a ja, w jednej i tej samej chwili wywyższony się czułem - i poniżony! Od ust łapczywych w poniżeniu trwałem, a od słów miłosnych szybowiałem na wysokości. A czy można być w dwóch miejscach naraz, powiedz sam?

Szósty: Chyba, że w filmach Lyncha.

Piąty: O tego wszystkiego lincz mi się zrobił w głowie! Wspomnienie nieumarłe, jak wampir, co noc do mnie przychodziło, w głowie dzwoniło dzwonkami: „Idźcie - ofiara spełniona“!

Siódmy: Mówiliśmy: weź, zapomnij! Tego już nie ma, już zniknęło, trup!

Piąty: To mnie „spełniasz“ każdej niedzieli - krzychałem po nocach.

Siódmy: Mówiliśmy: wyjedź tam, gdzie życie wartko płynie, gdzie każdy może się obmyć z

samego siebie i zacząć życie na czysto!

Piąty: Nie mogłem! Tak się w pamięci zastałem przez tego trupa, co mi w głowie na beton skamieniał.

KOLEDA „TO NIE JEST FAJKA“

(Grupa ludzi, cała w śpiewach, różańcach i chorągwiach. To dolorosi)

Przewodnik: My, dolorosi, jesteśmy tu, żeby swój ból ofiarować Najwyższemu! Po co tak cierpieć na darmo! Idziemy na wiatr, żeby bólem odkupić grzechy świata, jak nasz Zbawiciel.

Któryś Dolorosów: (krzyczy) Bólem czyścimy świat!

Chór Dolorosów: Czyścimy! Czyścimy! Czyścimy!

(Dziewczynka, chuda, wiotka i smutna.)

Dziewczynka: Jestem kurwą. Tatuś mówi, że kobiety to kurwy i trzeba je za to karać. Od kiedy urosły mi piersi, muszę pokutować. (Dziewczynka rozpina bluzkę i pokazuje swoje małe piersi)

Najpierw cięłam się żyłką, ale było dużo brudu i wszystko było widać. Ludzie zaczęli się dopytywać. Tatuś powiedział, że mam pokutować niewidzialnie. Tutaj ból jest niewidzialny i nikt się nie dopytuje. Bardzo lubię tu być. Tutaj wszystko zrobione jest z bólu i już nie muszę o niczym myśleć. Ból mówi do mnie: „Już dobrze, teraz jestem tylko ja, niczego więcej nie ma. Nawet ciebie nie ma.“

Przewodnik: Król-Ból nie bierze jeńców. Król-Ból z nikim się nie dzieli. (Obejmuje

Dziewczynkę, kołysze nią, mówi śpiwnie) Ciiii! Ta mała kulka wciśnięta w skroń to

Wszechświat. Za chwilę pęknie i popłyną hurmy gwiazd i planet, ostrożnie, jedno po drugim, żeby tylko nie zahaczyć o siebie orbitami. Czego tam nie ma! Ho-ho! Galaktyki, wodory i gwiazdy! A między nimi, popiskując, przemykają ogoniaste komety. Spójrz! Ból nie jest bólem, a „To nie jest fajka”. Przepelnieni mocą zmartwychwstania będziemy żyli od nowa! Kosmiczna rezurekcja. Czy nie na to czekaliśmy umierając?

PRE-PAID NIRVANA, telefon do absolutnego szczęścia. Musisz zasilić go bólem, żeby zadziałał.

Chór Dolorosów: Pre-paid! Pre-paid! Pre-paid!

Przewodnik: *„Jeśli po każdej burzy taka nadchodzi cisza, niechże zawieją wiatry, aż śmierć przebudzą.“*

Czwarta: (jak zwykle sceptyczna, krzyczy) Jakoś słabo wam idzie, bo zła na świecie nie ubywa.

Przewodnik: (krzywi się, słowa Czwartej mocno go zaboląły). Bo wciąż zbyt mało jest cierpiących! Ludzie chcą koić ból! Wymyślają jakieś leki, szczepionki i „prawa człowieka“. A my chcemy, aby jak najwięcej było na świecie dolorosów. Kiedy wszyscy zaczną cierpieć w imię dobra - zło zniknie, zobaczysz!

Czwarta: Wszyscy?

Przewodnik: Wszyscy. (Krzyczy) Bólem czyścimy świat!

Chór Dolorosów: Czyścimy! Czyścimy! Czyścimy!

Przewodnik: Staramy się z całych sił, żeby wszyscy cierpieli w imię Pana. Zwłaszcza dzieci!

Ich cierpienie miłe jest Panu! Dziecięce głosy lecą pod niebiosy!

NIEBIESKA PIOSENKA

(Ósmy wyciąga pęk kolorowych flamastrów, podsuwa Piątemu gestem „poczęstuj się“)

Ósmy: Weź! Niebieski najsmaczniejszy!

(Piąty odmawia. Ósmy sam bierze jeden z flamastrów, rozgryza plastikową obudowę jak skorupkę cukierka i wysysa środek, chrupiąc i mlaskając.)

Ósmy: Pamiętam dobrze dzień, w którym się urodziłem! Serio! Byłem całkiem goły i miałem taką cieniutką skórkę, a oni włożyli do pudła fortepianu. I zatrzasnęli klapę. Od tamtej pory, ktoś bez przerwy naciska klawisze, każdy dźwięk wali mnie młoteczkiem po skórze i to okropnie boli.

Czwarta: A co grają?

Ósmy: Piosenki. Bardzo bolesne.

Piąty: Czemu wsadzili cię do fortepianu?

Ósmy: Jak to czemu? Bo byłem winny. Jak tylko się urodziłem, od razu wiedziałem, że jestem winny! Taki jest świat. Rodzisz sobie dziecko, a jak tylko się urodzi, to od razu wiadomo, że jest winne! Wtedy je zabijasz.

Tak ustalił ten elegant. Ten-Który-Sfaldował-Się-Trzy-Razy, zgrabnie, z jednej materii, w Ojca, Syna i Ducha. Prawdziwy hipster. A potem powiedział tamtej dziewczynie:

URODZIMY SOBIE DZIECKO, ŻEBY BYŁO WINNE. Nie sam, posłanica wysłał. Gdzie by taki wielki pan do kobiety gadał osobiście, nawet tej, której właśnie zrobił dzieciaka. Do mojej matki też ktoś krzyknął na ulicy: „te, Majka, ale brzuch ci urósł! Beesz miała bachora!”

Więc tamta dziewczyna już wiedziała, że będą mieli dziecko, tylko, cwaniak, zapomniał jej powiedzieć - po co?

Piąty: Żeby uratować ludzkość!

Czwarta: (sceptyczna jak zwykle) Chyba uradować. Przecież nikogo nie uratował, za to uradował wielu!

Ósmy: Raz byłem winny bardziej niż zwykle i przez tydzień leżałem w szpitalu nieprzytomny. To wtedy pomieszały mi się kable w głowie - w mózgu jest straaaaaszny ścisk. A kiedy się obudziłem, kolory miały smak. (Pokazuje flamastry).

W szpitalu było fajnie! Ściany smakowały jak miętowe lody. Naprawdę! Pożerałem je oczami. A na dodatek, brzmiały! (Ósmy nuci)

Nabrzmiała twarz matki też zabrzmiała. Przyszła mnie odwiedzić. Nachyliła się nade mną i powiedziała (z ust Ósmego wydobywa się świszcząco- syczący dźwięk) „Miał kto urodzić, nie miał kto udussssssić” . To takie ludowe porzekadło, bo ona cała była w porzekadłach.

Porzekadło zawsze jest takie twarde, zgrzytliwe, z tym wymiotnym „dłoooo” na końcu. Sina twarz matki miała niedobry smak. Zwymiotowałem.

Czwarta: O co chodzi z tymi kablami w twojej głowie?

Ósmy: Nie wiem. Jeden doktor psychologii zhabilitował się na mnie, ale niczego nie wyjaśnił, tylko się namyślał przez trzysta stron.

Piąty: Ja wiem! To wszystko dlatego, że za bardzo się dopytywałeś!

(Czwarta i Ósmy patrzą zdziwieni na Piątego)

Piąty: To jasne! Bez przerwy marudziłeś: czemu? Czemu? Chciałeś, żeby świat ci to wyjaśnił. Ale im bardziej się dopytywałeś, tym mocniej obrywałeś od świata! A wtedy mózg, jak czarodziej, ulitował się nad tobą! Dlatego wszystko stało się muzyką, bo muzyki się słucha i w ogóle nie trzeba jej rozumieć!

Ósmy: (olśniony wyjaśnieniem Piątego) Fakt! Od tamtej pory już nie pytam: czemu?

Piąty: Od tego jest mózg, żeby rozwiązywał problemy, co nie? Na świat nie ma co liczyć.

(Bierze od Ósmego czerwony flamaster, rozgryza, żuje powoli)

Piąty: Dobry! Brzmi jak... (Nuci melodię)

Czwarta: Faktycznie... czerwona! (Również „częstuje się“ flamastrem)

Ósmy: Matka dostała dozór i „zawiasy”. Sędzia powiedział, że matka „chciała mieć dziecko i zjeść dziecko”. Ale ona urodziła sobie następne - miała je, a potem zjadała. Na szczęście dzieci ciągle rodzą się grzeszne.

WALCZYK „NEMEZIS”

(Kobieta trzyma na kolanach wypchanego psa. Co jakiś czas ze złością uderza psa a wtedy z jego futerka unosi się szary pył)

Kobieta z psem: Niewylewni za kołnierz byli!

Płynęli wartko wśród żartów, aż utonęli w mętным zapomnieniu. On był największy i najgłośniej gadał, po schodach chodził najgłośniej, a kiedy się śmiał, najgłośniej ze wszystkich, to pokazywał zęby wielkie jak sztachety, byle jak wsadzone, z prześwitami. Wszyscy się bali, że on tą zębową sztachetą zaraz komuś rozwali łeb.

Wiedział, że dopóki się śmieje, tym swoim śmiechem ostrym, jak nieheblowana sztacheta - świat mu nie podskoczy! Niczego się nie bał, no chyba, że tego jednego: że z niego będą śmiali. Ale nikt śmiechem poniżyć go nie śmiał, bo to on śmiał się najgłośniej i najtwardsze miał sztachety.

Płynął tak dzień po dniu, spokojny, że nikt się z niego śmiać nie ośmieli - ani z rzeczy żadnej, która jego jest. Ja byłam jedną z jego rzeczy. Bałam się go ośmieszyć odezwaniem nie takim jak trzeba, albo ubraniem nie takim, jak się jemu podobało, więc ubierałam się, jak on chciał i milczałam, jak on chciał.

Ale co ma się stać - to się stanie! Jak w tej greckiej tragedii: można dziecko porzucić w

górach na śmierć, a ono i tak po latach przyjdzie, ojca zabije, z matką się ożeni, oczy sobie wylupi - dokładnie jak przepowiedni stało. Będziesz uciekać przed losem w najwyższe góry, na dno oceanu, do pieczary - a i tak pierwsza rzecz, którą tam zobaczysz, to będzie twój los! Pięknie cię powita i powie: „Czemu się tak guzdrałeś? Czekam tu na ciebie i czekam!”

Jego przeznaczenie było czarne, kudłate, miało z metr łącznie z ogonem i bez przerwy za nim biegalo. Przeznaczenie nazywało się Perelka, a on to swoje przeznaczenie kochał najbardziej na świecie i jakoś ośmieszenia się nie bał. Bo i jak się tu bać, kiedy przeznaczenie miłości na ciebie patrzy i na krok cię nie odstępować? A jednak...

Pierwszy: Co? Suka go ośmieszyła?

Kobieta z psem: Ano, ośmieszyła!

Czwarta: (sceptycznie) A niby jak?

Kobieta z psem: A tak, że pies jakiś Perelkę dopadł, razem się szczepili i tacy szczepieni latali po wsi. Wszyscy to widzieli, wszyscy, lecz nikt zaśmiać się nie ośmielił. Każdy połknął ten śmiech i trzymał w sobie, żeby potem w domu ukradkiem go wypuścić. Ale on widział, że to nie pies, ale jego godność w kurzu się tarzała. I już wiedział, że wypełniła się boska przepowiednia i nie ma wyjścia: złapał tę najbardziej ukochaną, wypieszczoną za tylne nogi - i głowę jej o mur roztrzaskał.

Pierwszy: Dlaczego?!

Czwarta: Jak to dlaczego? Bo mu się skurwiła na oczach ludzi! Musiał ją ukarać, co nie?

(Dziewczynka od dorosłych wybucha histerycznym płaczem)

Czwarta: Chodzi o godność. Po kim ty taki głupi jesteś?

Pierwszy: Po drożdżach. Podobno kiedyś wszyscy byliśmy drożdżami. (Nagle obejmuje głowę ramionami, zaczyna się kołysać) Gdybym w cofie żył, to bym drożdżem był niewinnym. Taki maciupenki, ty-ci-tyci, niczego bym nie żałował.

Kobieta z psem: Kiedy umierał, to cały czas ją do siebie wołał. Spaliłam go, a prochy tutaj wypiłam. (Głaszcze psa) Na wściekły wiatr je wypuszczę, niech go wiatr rozwieje!

RAP O PORANNYM NIEISTNIENIU

Młody: Otwieram oczy. Za chwilę pamięć uciula mnie z tego, co ma w swoim worku, ale na razie sufit to biały ekran w kinie. (Podekscytowany) Zaraz pojawi się film ze mną w roli głównej. Nie mam pojęcia kim będę! Dziewczyną czy chłopcem, kotem, dzieckiem, a może rybą? Albo jakimś dziwnym zwierzęciem? Gregor Samsa pewnego ranka stwierdził, że jest owadem. Super, Ziom! Niech będzie owad, byle nie na zawsze.

A może, któregoś poranka, z mgły nieistnienia wyłoni się... MOST?

Zawsze chciałem być mostem, bo mostów mi nie wolno - jestem na bezmostowej diecie, a miasta przepołowione rzeką odmawiają mi swojej pełni. Skazany na wieczną tęsknotę za drugim brzegiem, chciałbym obudzić się między niebem i wodą, cały ze stali. Wszyscy dbaliby o mnie bo mosty są najważniejsze, bez mostów miasta istnieją tylko w połowie. Bez mostów ludzie też istnieją tylko w połowie, bo na moście spotykają się zakochani i szepczą do siebie, że „już na zawsze“. Potem przychodzą w nocy i szepczą, że już „nic, nigdy“ - słuchałbym co mówią o swoim życiu, zanim ze mnie skoczą.

Sufit spada na mnie „samojednią“. Ogluszony nie mogę się poruszyć, już wiem kim jestem.

Odwracam się do ściany - może jeszcze zasnę. Nic z tego. „Samojeden“ wstaję z łóżka i czolgam się przez kolejny dzień, taki sam jak wczoraj, taki sam jak jutro. Mam nadzieję, że następnego ranka znowu obudzę się pusty i wolny.

„KIM JESTEŚ?“ DUMKA NA TRZY GŁOSY

(Młody, jego Ojciec oraz hrabia Alfred Korzybski siedzą obok siebie.

Młody zajęty jest swoim laptopem, hrabia Korzybski nie zwraca na nikogo uwagi, zamyślony jak prawdziwy myśliciel raczy się jakimś wytwornym trunkiem.)

Ojciec: Za moich czasów, ledwo się człowiek urodził, a już wiedział, kim jest, od wieków do miejsca swojego przypisany, przywiązany albo przykuty.

Samojeden byłem z dziada pradziada aż zerwał się wicher historii i za jednym podmuchem z chłopą stałem się robotnikiem, a potem inteligentem pracującym, a nawet swoimi własnym dziedzicem! Latała mi ta czwórca przed oczami, jak na karuzeli, jeden za drugim: chłopak, co na bosaka biegał po ściernisku i robotnik, co taczkę pchał na budowie, za nim inżynier z teczką i w kapeluszu, i jeszcze dziedzic z sygnetem na palcu. Jechali, wirowali, a jak jeden się pojawiał, to drugi znikał, i jeden drugiego nie mógł dogonić, nawet ten chłopak, co biegał gołymi stopami po po polu. A wiesz ty, Młody, jak się boso biega po zżętych polu, żeby stóp nie poranić?

Młody: (nie odrywając wzroku od ekranu komputera) Skąd mam wiedzieć.

Ojciec: Skosem się biega. Jakeśmy zawody z chłopakami robili, to ja zawsze byłem królem.

Chciałem wyskoczyć z tej karuzeli, bo im szybciej oni się kręcili, tym bardziej nieswój się zrobiłem! Jak jechałem na wieś do rodziny - to już nie byłem swój! Jak na budowie na murarzy krzyczałem, to też swój już nie byłem. Nigdzie nie pasowałem. Żyłem jakby na scenie, lecz nigdy nie wiedziałem, którego siebie na przód wystawić, żeby swoją rolę odgrywał, bo nikt mi powiedział, jaka to sztuka, w której gram?

(Zaczyna płakać) Tyłu różnych ludzi na kupie we mnie żyło, a tylko dla mnie jednego miejsca brakowało!

(Ojciec próbuje wyrwać Młodemu laptopa)

Ojciec: Światożerca! Zachłanna pustka! Wciąga wszystko, co stanie mu na drodze. Bez przerwy coś w niego wpada i zaraz wylatuje - mówi, że jest tym, co akurat mu się wkręci. Spróbuj zbudować coś trwałego, tak po kawaleczku! „Ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka“, „Grosz do grosza i będzie kokosza”.

Młody: Zostaw! Muszę nasycić się światem, tak szybko, jak to możliwe. Życie to happy hour w knajpie Nicość. Jestem Zet, ostatnia litera alfabetu - po mnie niczego już nie będzie. Zresztą i tak niczego nie mogę zatrzymać, nawet gdybym chciał. Śmieciowe zlecenia, śmieciowe żarcie, śmieciowe ubrania z sieciówek. „Spieszmy się kochać spodnie, tak szybko odchodzą!“ Nawet słów nie mogę zatrzymać na dłużej. Śmieciowe językowe frazy najpierw same kleją się do mnie, a potem, nie wiadomo dlaczego, starzeją się, parcieją i znikają. „Wbijać na kwadrat“, „sztos“, „zajefajnie“ - czy ktoś tak jeszcze mówi?

(Ojciec zwraca się do hrabiego Alfreda, wskazując na Młodego z odrazą)

Ojciec: (prawie szeptem) Od wczoraj twierdzi, że jest niedźwiedziem polarnym. Że ma dosyć zimna, białego koloru i rozszarpywania fok, więc zostanie brunatnym niedźwiedziem kalifornijskim! Będzie serfować na falach, jeść wegańskie ryby i palić legalną trawę.

Młody: Mogę dopłynąć na wirtualnej krze dokąd zechcę i zostać takim niedźwiedziem, jakim zechcę. Przestrzeń nie istnieje! Wszędzie jest blisko.

Ojciec: Niech pan hrabia mu powie (Ojciec przymilnie zgina się w pół, miętosi w rękach jakąś niewidzialną czapkę), że on na mur-beton jest Polakiem, katolikiem jak pan i ja! I tej murowanej tożsamości nie wolno mu się wyrzekać, tak mi dopomóż Bóg!

(Alfred hrabia Skarbek Korzybski herbu Habdank pociąga łyk swojego trunku)

Hrabia Alfred: Jaki Polak? Jaki katolik? Zwykły destylat. Tożsamość to tani bimber!

Sprzedaje się go na wiecach wyborczych, placach i jarmarkach. Upija się nim żołnierzy, żeby szli na wojnę i zabijali innych, tak samo upojonych tożsamością – a potem tylko rzyganie i kac przez całe wieki.

Ojciec: Ale mnie o rzeczywistość się rozchodzi. O prawdę murowaną!

Hrabia Alfred: Jak prawda? Jaka rzeczywistość? Milczący zacier bulgocze wokół nas, a jak się go przepędzi przez mózg - to z drugiej strony berbelucha skapuje słowami. Bywałem tu i ówdzie, lecz zawsze w innym stanie abstrakcji, w innych słowach, innych językach, a przepędzona przez czas esencja moja podlegała nieustannej destylacji i nigdy nie był tym samym hrabią Alfredem Skarbkiem Korzybskim herbu Habdank.

Ojciec: (mruży z pogardą) Patrzcie go! Ugarniowany jak prosię na półmisku!

Hrabia Alfred: (ze skruchą) Przyznaję, że kapiał słowami przez całe życie, bo taka już niedola myśliciela, lecz śmiało mogę powiedzieć o sobie, że w słowie-m żadnym nie utknął na dłużej. I to, co jest mną prawdziwym – na zawsze nieme zostało i niewypowiedziane.

Ojciec: (wściekły) Za pozwoleniem, panie dziedzicu! Niewypowiedziany i niemy, to był mój dziad i pradziad, aż mu razu pewnego jegomoście sprzedali ten bimber tożsamości i upitego bój wysłali bez broni.

Hrabia Alfred: Zgadza się! Przodkowie pańscy ziemią byli, tym kawałkiem, który ich żywił i gównem ich obchodziło, na jakiej mapie ziemia ta leży. A potem przyszli moi przodkowie i mapę im pokazali, i powiedzieli, że oni teraz nie są już ziemią, rękami dotykaną, tylko tymi kreskami narysowanymi na papierze. I tak właśnie moi przodkowie wydestylowali pańskich przodków z ich ziemi a destylatów nazwali Polakami, a przecież wszyscy wiemy... (Hrabia chichocze) „mapa to nie terytorium“! Szczególnie kiedy niewyraźna jest i nie wiadomo dokąd prowadzi.

(Ojciec rzuca się na Hrabiego, zaczynają się bić)

GIGUE (czyt. żig) NARODOWY

(Grupa młodych mężczyzn zamierza wesprzeć Ojca w walce z Hrabią Korzybskim)

Dowódca: Żołnierze Wyklęci, Wielka Lechia i Międzymorze – zbiórka! Husaria - nie połamać skrzydeł! Hasło: „Witaj w krainie!”

Kamraci: (odpowiadają chórem) „Gdzie obcy ginie!”

Dowódca: „Jesteśmy ludźmi zasad!”

Kamraci: „Jeść zasady!”

Dowódca: „Patrzycie jak upada ten zniewolony naród nasz, bez szans na lepszą przyszłość i tylko rdzawych kajdan trzask“

Kamraci: „Precz z niewolą umysłową.“

Dowódca: „Wmawiają nam, że od naszego nazwiska i imienia, które mamy po naszych przodkach, jest ważniejszy jakiś kod QR, czy jakieś szczepienie!“

(Dowódca szturcha Młodego)

Młody: (nie odrywając wzroku od komputera) Przestańcie czerpać pełnymi garściami z szamba narodowych mądrości. Ja oparłem życie na jedynej uczciwej rzeczy: na własnej pustce. Patrzę na wszystko pustym okiem, bo nic nie jest takie samo jak wcześniej, bo zawsze jest dzień pierwszy a świat właśnie został stworzony! Więc tylko zapytam: czy dobry jest? Czy zły? A potem wszystkie „za” i „przeciw”, rozcieram do ostatniej grudki a kiedy już zamienią się w pył – wciągam i...

Dowódca: I...

Młody: I sram do własnego gniazda za każdym razem, kiedy czuję taką potrzebę, albowiem godne to i sprawiedliwe srać do gniazda, w którym zaległy się zło i niegodziwość.

(Dowódca nie daje za wygraną)

Dowódca: „Czy będziemy narodem silnym, gotowym nieść krużganek oświaty, chrześcijaństwa, cywilizacji łacińskiej na Zachód?”

Kamraci: „Polska dla Polaków!”

ARIA O MIEŚCIE, SZCZURACH I MGLE

(Stary Breslau pochodzi z czasów kiedy przestrzeń jeszcze istniała)

Stary Breslau: Uciekając, zabieraliśmy słowa. Kiedy idziesz przez lasy i bagna, i nie masz niczego, nawet własnego kurzu, który mógłby gdzieś osiąść - zabierasz słowa, bo nie ważą wiele. Nazywam się Salomon Breslau. Miasto dało mi słowo, a ja pozostałem mu wierny. Kiedy masz miasto w nazwisku, możesz oderwać je od ziemi i zabrać ze sobą. A kiedy nie masz domu, możesz jak ja - zamieszkać w swoim nazwisku. Potem, na drugim końcu świata, wpada na ciebie jakiś Białystok, Danzig albo Berlin – i od razu wiesz jaki wiatr ich tam przywiał.

Kiedyś były tu tylko szczury i mgła. Szczury były na dole - a mgła na górze. Pomiędzy nimi, rzekami, kanałami i rynsztokami, rozlewało się Miasto. Szczury i mgła nigdy nie wchodziły sobie w drogę, bo w przeciwieństwie do mglistych idei - szczury wynikały logicznie z kanałów i kluczały fałsz. I mogliby tak trwać: mgła na górze a szczury na dole, ale... pewnego dnia duch miejsca, *genius nazi*, wyssał szczury z piwnic i kanałów, a one rozpuściły się we mgle.

Szczurza mgła nie spadła na mieszkańców, dusi ich dzień i noc, zakleja oczy, wciska się do gardła i płuc, jest w oddechu, jest na języku. Wybroczyny rozmazane na murach, brunatna wydzielina, sygnał infekcji, ze zmyślonych ran jątrzą ciągle te same słowa: „tęczowa zaraza”, „Polska dla Polaków”, „Żydzi do gazu”. Wielki brązowy szczur zrobiony z mgły wisi nad Miastem i wypełniony obelgami mówi: „szczęść Boże”!

Szczur z Hameln dmie w fujarkę piwnicznym oddechem, ożywia słowa wzdęte od trupich gazów, prowadzi ludzi na zatracenie.

Któryś z Kamratów: (z nutą podziwu) Gada jak ebany profesor, ebany cwel!

(Stary Breslau patrzy na Kamratów z niedowierzaniem, jest wstrząśnięty)

Stary Breslau: Na rynku Miasta spalili ducha, tego samego, co zawsze. Duchy się nie starzeją, duchy nie umierają. Ulepili ducha ze szmat, z nienawiści, z zawsze- cudzej- winy, w imię „króla“ i jego „matki“ - jedynej kobiety, którą można czcić.

Mam nadzieję, że wicher rozhula tę szczurzą czeredę! I zniknie szczurza mgła.

KUPLET „POSZŁA MARIA RAZ DO MŁYNA“

(Dwie starsze kobiety, ponure, o zaciętym wyrazie twarzy. Każda z nich zaczynając swoją kwestię odpycha towarzyszkę rękami albo zatyka jej usta - walczą o prawo opowiedzenia historii Marii, a walka robi się coraz bardziej krwawa)

Starsza kobieta 1: Maria poszła raz do młyna...

Starsza kobieta 2: a tam z obłoku jasnego wyszedł młodzieniec! Jasność taka biła od niego białością, więc...

Starsza kobieta 1:... ludzie we wsi zaczęli gadać, że Pan Nasz ukazał się we młynie!

Starsza kobieta 2: - Grzechy wasze tutaj zmieleł wszyścusiennie! - tak odzwał do Marii młodzieniec z obłoku jasnego, no i...

Starsza kobieta 1: No i zaraz rozeszło się po wsi, że Pan Nasz grzechy miele we młynie!

Wszystkim bardzo ulżyło...

Starsza kobieta 2: ... bo dużo mieli do zmielenia!

Starsza kobieta 1: Maria co noc tam chodziła...

Starsza kobieta 2: Co noc!

Starsza kobieta 1: A młodzian bielutki co noc jej się ukazywał, więc dziewczynę nazywano Błogosławioną Marią od Młyna Pańskiego. Aż nagle...

Starsza kobieta 2: ...ktoś wrzasnął...

Starsza kobieta 1: (wrzeszczy) Aaaaaaaaaaaaaa!

Starsza kobieta 2: ...że Maria Żyda we młynie się ukrywa.

Ósmy: Jak ukrywa? W obłoku bielutkim?

Starsza kobieta 1: W żadnym obłoku, tylko w mące!

Starsza kobieta 2: Mąka się na nim trzymała, bo owłosiony był na ciele, ale jak tylko mąka z niego opadła, to zaraz się pokazało, że to... że to... (nie może złapać oddechu)

Starsza kobieta 1: ...chasyd z Góry Kalwarii, co go Maria chowa we młynie.

Oboje byli młodzi i zakochani, więc się kochali każdej nocy, a z góry sypał się na ich miłość biały pył.

Starsza kobieta 2: No, to poszli ludzie do młyna, z widłami, wściekli, że ich oszukano, bo odpuszczenie grzechów mieli obiecane - a teraz co?

Starsza kobieta 1: Widłami chasyda pomacali, widłami na posterunek pogonili, a potem worki z mąką rozpruli, rzeszotem dokładnie przesiali, ale złota żadnego nie znaleźli.

Starsza kobieta 2: Za to Maria w lesie się ukryła, bo już dobrze pękata była pod spódnicą.

Starsza kobieta 1 : Jakby tam worek z mąką nosiła!

Starsza kobieta 2: W lesie Maria powiła córkę, której na imię dano Maria, po matce błogosławionej.

Starsza kobieta 1: A że mącznemu jej ojcu było Mordechaj - to we wsi wszyscy wołali na nią Mardecha.

Starsza kobieta 2: Ludziom się to nie podobало, że im czarnymi oczami po oczach waliła, a nos jak kartofel, pod nos podstawiała.

Starsza kobieta 1: Na szczęście została Mardecha artystką, a wiadomo, że artystom wiele można wybaczyć. Malowała obrazy. Mąką na dykcie. Pamiętam jeden: dziewczyna i chłopak

stoją nadzy, miłośnie spleceni, a z góry sypie się na nich biały pył.

Starsza kobieta 2: Aż dziw, jak ludzie po różnych londynach i nowychjorkach obrazy
Mardechy kupowali, więc Mardecha bogactwem obrosła.

Starsza kobieta 1: We wsi szemrali- szurali, że nie ma się co dziwić, bo to geny! Geny
Mardechy doszły do głosu!

Starsza kobieta 2: „Jak się ma takie geny, to trudno żeby siedziały cicho!“ -mówili.

Starsza kobieta 1: Za te gadające geny Mardecha dom wielki pobudowała koło młyna, a sama
będąc owocem mącznego cudu, zaraz też z brzuchem jak wielki worek mąki zaczęła chodzić. I
znów było wiadomo, że geny się w niej odezwały!

Starsza kobieta 2: Tym razem po matce niesłusznie błogosławionej.

BALLADA O PRAWDZIWYM ŻYCIU

(Pierwszy i Czwarta z nudów ogladają starą gazetę na której stały butelki)

Pierwszy: Zobacz! Z formy się wylewają jak buły.

Czwarta: Bo na pustym bąblu wyrosli! Rosną jak ciasto od pustych słów i tacy rozdęci
twardnieją w śmiesznych pozach, jak pomniki z ciasta.

Im więcej pustki - tym większe robi się ciasto.

Pierwszy: I bardziej zapiekle na wierzchu.

(Naciskane szybko klawisze komputera brzmią jak krople deszczu, Młody uśmiecha się
zanurzony w swoim szumiącym świecie i jest bezgranicznie szczęśliwy)

Młody: Nareszcie! Świat rozpostarł ramiona i zawołał: bądź kim zechcesz, byle nie za długo!

Byłem instamatką o nienagannej figurze dwa dni po porodzie, i radiomaryjną lwicą, wściekle

ryczącą na każdego. Byłem lewakiem i prawakiem, na górze, na dole i w środku. Zatrudnili wszystkie moje tożsamości, wszystkie nowiuteńkie i prawdziwe! Lajkowałem, komentowałem, lamentowałem i dodawałem do ulubionych - zmieniałem świat samymi słowami. I zawsze mówiłem prawdę - w każdym razie tę aktualną. Zresztą, po dziesięciu latach pandemii, nikt już nie pytał, co jest prawdziwe, a co nie! Liczył się tylko jeden świat: ten na ekranie. A to znaczyło, że każdy mógł z nim robić co chce.

Pamiętam, że pod jakimś wyjątkowo nudnym artykułem rozpalilem ogień z tysięcy komentarzy i ten całkowicie niepalny temat tlił się w gazetach i parlamencie miesiącami, chociaż dotyczył... (Młody dusi się ze śmiechu) produkcji zielonego groszku.

W końcu musiałem coś pomieszać i na prezydenta niewielkiego kraju w Afryce wybrano białego jak śnieg... narciarza. Narciarz uznał to za dobry znak i nawet się ucieszył, już zaczął pakować narty, ale w ostatniej chwili prokurator wyjaśnił mi pomyłkę.

Wtedy postanowiłem zrezygnować z polityki i zatrudniłem się u pani Doriany.

(Na dźwięk słowa „Doriana“ wszyscy zgromadzeni za stołem robią wdech, a potem rozlegają się okrzyki: Ach! On zna Dorianę! Jaką Dorianę? Jak to jaką ? Doriana jest tylko jedna!)

Starsza kobieta 1 i Starsza kobieta 2 : (unisono, z zachwytem) Ja ona jest?!!!

Młody: Doriana?

W przeciwieństwie do większości ludzi, zawsze pierdziała przed wyjściem z domu – w jej publicznym wizerunku nie było miejsca dla cielesnych wydzielin.

- Rzeczywistość jest okropna! - mówiła. - W rzeczywistości wszystko się psuje, brzydko wygląda i brzydko pachnie. Nie tak jak na Insta.

Doriana nie tylko pierdziała w domu, lecz również w domu się starzała, a dzięki plotkom na własny temat, które Doriana puszczała publicznie, dzięki fotoszopom i ustawkom dla prasy - jej portret nigdy się nie zmieniał. Bo w przeciwieństwie do pani Doriany, portret pracował, a kiedy pracował, kolorowe banknoty o wysokich nominalach jak

motyle zlatywały na jej konto. Ale, ale... Żeby życie portretu nie zdechło, trzeba było każdego dnia wymyślać coś nowego, pokazywać zdjęcia z wakacji w Zanzibarze a potem liczyć liczyć lajki i suby. To było wyczerpujące i z czasem Doriana odprawiała rzeczywistość „z kwitkiem”, jakby rzeczywistość była jakąś niepotrzebną służącą.

Odtąd pani Doriana leżała na kanapie, nie farbowała włosów, nie doklejała tipsów, a jej bąki stawały się coraz bardziej jadowite, bo chociaż medialny wizerunek Doriany żywił się wyłącznie kielkami i wodą z Alp, prawdziwa pani D. nie opierała się kotletom schabowym z kapustą.

Kiedy już żaden obraz nie był w stanie unieść jej gabarytów - stało się to, co nieuniknione: Doriana i jej portret wzięli rozwód, cichy i bezbolesny.

Życie i jego obraz rozstali się bez rozgłosu, a jedyny problem polegał na tym, że banknoty o wysokich nominalach nie przysiadają już na koncie pani Doriany.

W jedenastym roku pandemii Doriana ocknęła się jak niedźwiedź po długim zimowym śnie, i przysłała mi wiadomość

- Chcę wrócić do prawdziwego życia!

Miała na myśli Sieć. Dzień i noc szlifowałem nowy obraz Doriany, a gazety znów o niej pisały: „Wielki powrót Doriany Grey”, „Królowa wraca piękniejsza niż kiedykolwiek”.

Interes ruszył i banknoty jak kolorowe motyle... sami wiecie.

I pewnie dalej dobrze by nam szło, gdyby nagle... (wybuch płaczem, biesiadnicy próbują go uspokoić)

Uwięziony w świecie масечек i płynów dezynfekujących, zatęskniłem za... błotem!

(Okrzyki zdziwienia: Za błotem? On tęskni za błotem?)

Stary Breslau: (kiwa głową ze zrozumieniem) Dotykane to tkanie obrazu świata – a jaki obraz można utkać dotykając szklanego ekranu? Świat nie zostawia żadnych śladów na naszym ciele. Zniknęły „linie papilarne” przedmiotów i nikt już nie pamięta, jak rzeczy smakują pod palcami.

Młody: (szlocha) Moje życie to jazda w zaplombowanych wagonie! Gapię się na prawdziwy świat i ogarnia mnie złość. Kiedy patrzę, jestem... po drugiej stronie, przeciwko temu, co widzę, osamotniony, wykluczony. Chciałbym wysiąść z pandemicznego pociągu (zamyka oczy), leniwie zsunąć się z błotnistego brzegu, wejść do strumienia - nurt wody opływa moje ciało, taki chłodny, taki laskotliwy. Świat osiada na mojej skórze, na języku, ma zapach i smak. Jestem w środku! Coś otarło się o mnie, zanurzam dłoń, chwytam rybę i... stop! Koniec. Wyobrażenia nagle się kurczy, chciałbym utkać palcami obraz ryby, kamieni, mułu, wilgotnej trawy - ale nie potrafię!

(Młody płacze. Dotyka twarzy palcami, przygląda się dłoniom, zaczyna się śmiać)

Młody: Łzy. Łzy są słone i mokre.

Postanowiłem „odejść” z pracy u pani Doriany – wiem, dziwnie brzmią te określenia ruchu, kiedy całymi dniami siedzisz w fotelu.

- To nie zapłacę ci za robotę – zagroziła Doriana

- To ja zniszczę twój portret – odpowiedziałem.

Jeszcze próbowała mnie kusić swoim pięknym Internetowym ciałem, a nawet zaproponowała medialny ślub.

Odmówiłem.

Nie zniszczyłem jej portretu. Ona sama to zrobiła. Zaprosiła dziennikarzy i leżąc rozebrana na kanapie grzmiała, że teraz będzie walczyć o prawdziwy obraz kobiety!

-Taka jestem! Bez makijażu!

I znów Doriana stała się ikoną czyli obrazem, tym razem prawdy.

A barwne motyle o różnych nominalach...

(Rozlega się szum kropel, to Młody uderza w klawisze, znów jest spokojny)

PIOSENKA O ROPIEJĄCYCH SŁOWACH

(Stary Breslau, Chłopak i Dziewiąty siedzą obok siebie)

Stary Breslau: Jak tylko się urodziłem, od razu zostałem ujęty w słowa. A właściwie, przez słowa ujęty. I zatrzymany do wyjaśnienia. Chociaż nie: natychmiast zostałem wyjaśniony! W jednej chwili, całkowicie i ostatecznie. (Ironicznie) Odtąd cokolwiek zrobiłem, od razu było wiadomo, dlaczego: „pasywny, żydowski motłoch“, „Bękart talmudycznych imperialistów“.

(Chłopak wyciąga wielką kanapkę, odpakuje, podsuwa Staremu, ale ten odmawia.

Chłopak proponuje kanapkę Dziewiątemu z takim samym skutkiem)

Chłopak: Też mam takie słowa. Słowa jak drzazgi, wokół których ropieje moje życie. Wbiły się we mnie jeszcze w dzieciństwie. Nie da rady ich wyjąć.

Kiedy umarł mój brat, moja matka okropnie krzyczała.

- Czemu on? - krzyczała. - Czemu nie ty?

No właśnie – myślałem - czemu on? Czemu nie ja? I nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

Kiedy ona krzyczała, ja tylko się skuliłem, zgiąłem w pół, w kabłąk. Myśleli, że rozpaczam po bracie, Ale ja wiedziałem!

(Znow zajął się swoją kanapką.)

Dziewiąty: Co wiedziałeś?

(Chłopak przelyka ostatni kęs.)

Chłopak: Że mój brat wciąż jest.

Dziewiąty: Nie umarł?

Chłopak: Jasne, że umarł. Umarł - ale jest. Wszyscy myśleli, że jak on umarł - to go nie ma, a on był tą wklęsłością, która się we mnie zrobiła, kiedy zgiąłem się w kabłąk. I odtąd było nas dwóch: mój brat zrobiony z pustki - i ja. Bo skoro nie ma odpowiedzi dlaczego on, a nie ja, to granica między tym, co jest, a tym, czego nie ma, też nie istnieje.

- Nie garb się! - wrzeszczał na mnie ojciec. - Właśnie umarł twój brat a ty się garbisz!

Ale ja garbiłem się coraz bardziej i bardziej. Musiałem „wygarbić” więcej miejsca, bo brat rósł i już się we mnie nie mieścił.

I zrobił się okropny tłok, bo każde nieszczęście złościło we mnie przestrzeń w której chroniły się ofiary.

Dziewiąty: Jakie ofiary?

Chłopak: Inne. Nie wiem jak, ale jakoś się dowiedzieli. (Wzrusza ramionami) Zlatywali się do mnie a ja nie wszystkich mogłem w sobie pomieścić. Wiesz sam: wojny, katastrofy i jeszcze ta pandemia. A ja ciągle pytałem: dlaczego oni, a nie ja?

Dziewiąty: Faktycznie! Wyglądasz całkiem jak znak zapytania. Masz taką pustkę w środku.

Chłopak: Przestałem wychodzić z domu, żeby mi się coś złego nie przytrafiło! I gdzie oni by się podziiali? Ci wszyscy, co umarli zamiast mnie?

(Chłopak sięga po torbę, wyjmuje dwa kotlety, posypuje chipsami)

Chłopak: Muszę o siebie dbać i dużo jeść. Muszę ich wszystkich wykarmić sobą.

Ludzie co dzień umierają z głodu.

Dziewiąty: Pewnie jest ci ciężko.

Chłopak: Chciałbyś żyć w takim świecie? Gdzie tylko ty masz szczęście, a całe zło przytrafia się innym? Wyobraź sobie, że coś, jakiś ślepy los czy przypadek, przechyliło pudelko z koralikami i wszystkie toczą się w jedno miejsce, bardzo złe miejsce, a ty jesteś tym jednym koralikiem, który nie wiadomo czemu przykleił się i nie spada razem z innymi. Tkwisz tam samotny i pytasz: czemu oni, czemu nie ja?

(Dziewiąty chce poklepać Chłopaka po ramieniu, ale Chłopak faktycznie kleił się cały, więc Dziewiąty dyskretnie wyciera rękę)

Dziewiąty: Dlaczego tu przyjechałeś?

Chłopak: Mam wątpliwości, czy w ogóle jestem.

Dziewiąty: Niemożliwe! Ty, który obdarzasz istnieniem tyle osób?

Chłopak: O moim bracie rodzice ciągle mówią. On istnieje naprawdę, a ja... nie jestem rzeczywisty. Nie czuję konturów. Rozlewam się we wszystkie strony i trudno stwierdzić, gdzie się zaczynam - a gdzie kończę. Dlatego tu jestem. Ból wyostreza kontur, człowiek czuje, że jest! Szczególnie w tym miejscu, gdzie boli.

Dziewiąty: O, tak! Nie ma bardziej zdecydowanego bycia niż wtedy, gdy boli.

Chłopak: Postanowiłem, że będę tak cierpiał, tak cierpiał... (gryzie kawał kotleta), aż...

(Chłopak się krztusi)

Dziewiąty: Aż co?

(Chłopak przelyka kęs)

Chłopak: Aż umrę.

Dziewiąty: I co wtedy?

Chłopak: Jak to co? Wtedy ktoś inny zapyta: czemu on, czemu nie ja? I ten ktoś zegnije się w pół, zrobi się w nim pusta jamka i ja zamieszkam w tej pustce.

Dziewiąty: Nie wiem czy znajdzie się ktoś wystarczająco...(milknie)

(Chłopak patrzy na Starego błagalnie.) Obejmij mnie, jestem taki samotny.

Stary Breslau: (obejmuje Chłopaka) Faktycznie, pełen jesteś katastrof i nieszczęść.

Chłopak: (właśnie oblizal palce z sosu i zaczyna jeść wielkie ciastko.) To dla dzieci, które umierają z głodu. Słodyczne są dla dzieci.

(Stary Breslau i Dziewiąty wspólnie obejmują Chłopaka)

Dziewiąty: (nuci jak małe dziecko) Bo-lo- lo- mo-so-bo-bo- lo- mo-so-bo-bo- lo- mo-so-bo-lo-lo- mo-so!

Mam pięć lat, Matka stoi przed lustrem, wkłada rękę do stanika, żeby podrzucić pierś,

najpierw jedną, potem drugą. Plask! Plask! Nie mam pojęcia, dlatego to robi, ale to znak, że zaraz porwie ją wiatr.

- Idę do sklepu, żeby kupić ci mleczko i... - Matka patrzy na mnie wyczekująco, a ja smętnie dopowiadam

- ... i jajeczko.

Hasło i odzew, krótka treść zgnieciona w kulkę: „ja, twoja matka, za chwilę zniknę, i pewnie myślisz, że mam ciebie dosyć, ale to nieprawda! Kiedy znikam, robię to dla ciebie!”

Potem, kiedy będę sam, wygrzebię tę opowieść, rozprostuję, wygładzę i przez długie godziny będę ją sobie opowiadał.

Ale czasem Matka wychodzi bez słowa. Wtedy podbiegam, chwytam poły jej płaszcza, ciągnę i płaczliwie domagam się rytualnego kłamstwa

- ... i jajeczko?

- Co? - pyta zdziwiona.

Okładam jej uda małymi piąstkami

- Ijajeczko!!! - krzyczę.

Matka odlatywała a ja zaczynałem budować wieże oblężnicze, katapulty, balisty, żeby wysadzić w powietrze mój łzawy szloch. Jednak było coś, z czym sobie nie radziłem: duch Matki. Nie mogłem go zobaczyć ani dotknąć, a on osaczał mnie z każdej strony i nie pozwalał zapomnieć, że jestem sam: jej zapach, niewidzialna obecność, mieszanka czegoś gorzkiego i słodkiego. Zapach, jak zwiewna baletnica, jednym susem przeskakiwał wszystkie fortyfikacje obronne, które z takim trudem udało mi się zbudować, i z wdziękiem opadał na malutki kawałek mojego mózgu, który przed miliardami lat był jaszczurką – a z jaszczurkami nie potrafiłem jeszcze walczyć.

Byłem mały, ale już wiedziałem, że rozpaczy nie wolno trzymać w środku, bo można od tego pęknąć. Bałem się, że i ja zaraz pęknę, więc małą czerwoną ciężarówkę ląduję po dach - a potem rozgniatałem butem na drobne kawałki. To samo spotyka indianina z włócznią, który,

zamiast mnie bronić, tylko stoi i gapi się w przestrzeń. Był jeszcze ten... najbardziej ukochany, senny towarzysz - piesek z oberwanym uchem. Wrzucam go do ubikacji, spuszcza wodę i pluszowy kozioł ofiarny znika z mojego życia, a razem z nim całe zło. Mam nadzieję, że odtąd już zawsze będę pusty i szczęśliwy.

- Więcej nie dostaniesz żadnych zabawek – powiedziała Matka. I dotrzymała słowa.

Wtedy postanowiłem umieszczać uczucia w czymś niewidzialnym.

- Bo-lo- lo- mo-so-bo-bo- lo- mo-so-bo-bo- lo- mo-so-bo-lo- lo- mo-so! - śpiewam bez końca.

Wylatują przez okno. Nie wiem, co się z nimi dzieje. Może spadają na innych ludzi?

Matka każe mi się zamknąć, więc zaczynam bezgłośnie poruszać ustami.

- Przestań! - jest naprawdę wściekła. Ale nagle uśmiecha się i mówi

- Idę do sklepu, żeby kupić ci mleczko i... i....

(Dziewiąty uśmiecha się boleśnie)

Stary Bresalu: Widziałem film o człowieku okrutnym i sławochciwym. Mówili na niego

„obywatel Kane“. Jego życie otorbiło się wokół słowa „pączek róży” i na tym „pączku róży”, jak na dziecięcych saneczkach, wyjechało ostatnie technienie Kane'a. Nikt nie miał pojęcia – dlaczego? Ale wyjaśniło się na końcu, bo nakręcili o tym film.

Dziewiąty: Boję się, że na koniec życia wykrztuszę z siebie to jego słowo: „ijajeczko”. Wszyscy będą się śmiali. Sam bym się śmiał, gdybym akurat nie umarł. I nikt nie nakręci o mnie filmu.

(Biesiadnicy zrywają się z miejsc. Rozlegają się okrzyki: Jest! Przyszedł! Nareszcie!

W istocie: wiatr wyje, buczy, dudni, ludzie krzyczą, dorośli śpiewają Alleluja, wszystko się trzęsie, wyją syreny. Światło zaczyna migotać, w kolejnych rozbłyskach widać fragmenty stołu i biesiadników. Po chwili zapada ciemność. Kiedy światło zapala się ponownie, za stołem nikt nie siedzi.)

POLONEZ

(Spod stołu wysuwa głowę Chłopak. Pojawia się głowa Dziewiatego)

Chłopak: Już szykowałem dla ciebie miejsce (pokazuje faldę na brzuchu), ale skoro żyjesz, mogę odstąpić je komuś innemu.

Dziewiąty: Nie ma sprawy! Zawsze ktoś się znajdzie.

(Rozlega się znajome buczenie: Buuuu! Spod stołu wyczołguje się Pierwszy, jest całkiem nagi)

Pierwszy: Całkiem bez winy jestem. W niewinność strojnie obnażony od stóp do głów, jak pierwsi rodzice w Raju, albo noworodek. Albo trup!

Piąty: Trup? Pamięć trupa nieżywego zostawia w naszej głowie a my jego nosić musimy.

(Kobieta wytrzepuje resztki prochów męża z psiego futra, za nią dolorosi wychodzą spod stołu cali w pajęczynach, kurzu)

Przywódca: (krzyczy) Bólem czyścimy świat!

Chór Dolorosów: (kaszląc i kichając) Czyścimy! Czyścimy! Czyścimy!

(Wypelza spod stołu pani Doriana ciągnąc za sobą Młodego. Dwie Starsze Panie, czolgają się próbując wyprzedzić jedna drugą. Hrabia Alfred Korzybski sunie po podłodze w towarzystwie niedźwiedzia z deską surfingową palącego legalne zioło. Są też inni, nikogo nie brakuje. Siadają za stołem, trochę rozczarowani tym, że znowu nic się nie wydarzyło.

Zaczynają mówić, do siebie, do innych – jak zawsze. Wokół stołu krąży Mardecha z wielkim brzuchem i posypuje wszystkich mąką.

Tylko Stary Breslau i człowiek z plecakiem, obaj wystraszeni patrzą spod stołu.

Stary Breslau chce wyjść, ale człowiek z plecakiem chwyta go za rękę i wciąga Starego pod stół.

Przed stołem na podłodze klęczy Ojciec, coś układa z kawałków śmieci)

Ojciec: (do siebie) Najwyższy czas żebyś się pobudował. Z tego, co masz pod ręką - ze strachu. Strach to doskonały budulec! Bardzo trwałe. I nigdy go nie zabraknie.

A jeśli jest „strach“, to muszą być „wrogowie“, to oni są wszystkiemu winni! Wąż, jabłko, kobieta, dziecko. I wciąż pojawiają się nowi!

Co będzie w środku? Pogarda? Tak! Jasna jak słońce. Będzie trzymać na uwięzi resztę planet: nienawiść, przemoc, kłamstwa - nigdy nie pozwoli im uciec. Pogarda pięknie komponuje się z wyszczerbioną manią wielkości.

A teraz trzeba cię ładnie zamknąć, żebyś się nie rozlaź!

(Ojciec układa na brzegach ozdobny motyw z drutu kolczastego. Wstaje, patrzy na swoje dzieło z zadowoleniem)

Ojciec: Nareszcie coś trwałego! Widzisz! No, w końcu dorośniesz i wrośniesz w ziemię, jak ja! „Grosz do grosza i będzie kokosza“! Wystarczy się postarać.

KONIEC

(Wrocław, listopad 2021)

